



Droga od magistra do profesora. 47 lat na Uniwersytecie Gdańskim

Bogumił Linde | Klub Seniora Uniwersytetu Gdańskiego

Pod koniec trzeciego roku studiów, które odbywałem na Uniwersytecie Wrocławskim, wybieraliśmy specjalizację. Wybrałem fizykę jądrową i otrzymałem temat pracy magisterskiej pt. „Korelacja kątowa kwantów anihilacyjnych w 2% roztworze chlorofilu w acetonie”, w Zakładzie Zastosowań Fizyki Jądrowej pod kierunkiem prof. dr. hab. Jana Wesołowskiego.

Zestawienie stanowiska pomiarowego było dość kłopotliwe i wymagało sporo czasu. Ze względu na bardzo długie czasowo badania i bez możliwości przerywania pomiarów prowadziliśmy je we dwóch. Towarzyszył mi kolega z tego samego roku, Andrzej Baran. W maju zakończyliśmy długie oraz żmudne pomiary i zabrałem się za pisanie pracy magisterskiej, która nieco później była częścią pracy doktorskiej.

W międzyczasie zastanawiałem się nad kontynuacją nauki. Wybrałem Świerk, bo tam mógłbym kontynuować badania w zakresie fizyki jądrowej. Chciałem się dostać do Świerku na studia doktoranckie, ale nie spodziewałem się egzaminu, zwłaszcza z zakresu fizyki teoretycznej. Zobaczyłem, jak sąsiad napisał kilka stron na jedno pytanie, a ja miałem koło dwóch stron na wszystkie, spasowałem i wyszedłem z tego egzaminu. Byłem jeszcze przed obroną pracy magisterskiej i zacząłem się właśnie do niej przygotowywać. Prowadzący egzamin trochę się zdziwił, słuchając mojego wyjaśnienia, ale w końcu powiedział, do przyszłego roku. Stało się jednak inaczej.

W czerwcu napisałem pracę magisterską, tak samo jak mój kolega, i termin obrony wyznaczono nam na 1 lipca 1970 roku. Denerwowałem się pod drzwiami pokoju, w którym oczekiwała na nas komisja. Z Andrzejem umówiliśmy się, że ja wejdę pierwszy, bo on nieco mniej zdenerwowany, ale doc. dr hab. B. Rosenfeld wyszedł

i zdecydował za nas i powiedział pan jest Baran, więc pan będzie pierwszy. Nasze egzaminy nie trwały zbyt długo i mogliśmy się już cieszyć tytułami magistra fizyki, nadanymi w Instytucie Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu Wrocławskiego.

Po obronie należało znaleźć pracę. W tamtych czasach obowiązywał nakaz pracy. Jeśli bym sam jej nie znalazł, to pełnomocnik ds. pracy Uniwersytetu Wrocławskiego wysłałby mnie do jakiejś pracy przez niego znalezionej gdzieś w Polsce u diabła na kuliczkach. Myślałem o jakiejś uczelni, pewnie bez problemu dostałbym się do ATR w Bydgoszczy, ale ja nie bardzo miałem na to ochotę. Tata zadzwonił do przyjaciela w Warszawie Piotra. Jego żona pracowała w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa. Prosił o przyjazd i żona jego spróbuje załatwić spotkanie z osobami, które mają wiadomości o wolnych miejscach pracy. Pojechaliśmy do Warszawy i poszliśmy do ministerstwa. Żona pana Piotra zaprowadziła mnie do Departamentu Szkół Wyższych. Pan Dyrektor zapytał mnie, na jakiej uczelni chciałbym pracować. Nie bardzo umiałem powiedzieć, wspomniałem tylko o Uniwersytecie Gdańskim, bo w tym roku go otworzyli i pewnie potrzebują fizyków. Poza tym Gdańsk był niedaleko od Grudziądza, gdzie wtedy mieszkałem, w Gdańsku mieszkał również brat mojej mamy, gdzie na początku mogłem się zatrzymać. Na moje niezdecydowanie Pan powiedział „niech Pan pójdzie tam, gdzie Pan chce i jeśli powiedzą, że nie mają etatów to proszę powiedzieć, że Ministerstwo da dodatkowy etat”.

Pojechałem do Gdańska do Instytutu Fizyki i zapukałem do gabinetu dyrektora, wtedy doc. dr. hab. Jana Fiutaka. Na moje zapytanie o możliwość pracy, zdziwił się, uśmiechnął i powiedział, że o pracę trzeba się starać w marcu a nie w lipcu, teraz nigdzie nie ma już etatów.

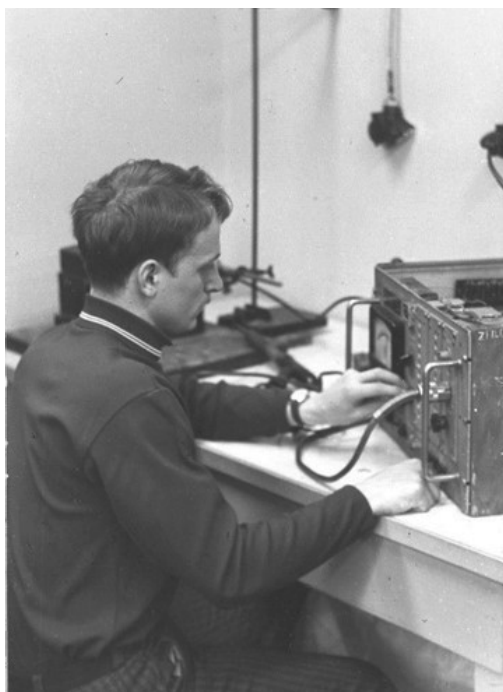
Na takie dictum powiedziałem o obiecanej etacie przez Ministerstwo. Zapytał od razu, czy ten etat również będzie aktualny i na przyszły rok. Ale ja nie umiałem na to pytanie odpowiedzieć, po prostu nie wiedziałem, że pierwsze zatrudnienie to nie etat na stałe, a wtedy były nawet to Asystenckie Studia Przygotowawcze, a nie etat. Zabierałem się więc do wyjścia i już przy drzwiach dyrektor powiedział: „jak Pan tyle już załatwił, to niech Pan składa te papiery o zatrudnienie w Instytucie”.

Przydzielono mnie do Zakładu Akustyki doc. Antoniego Śliwińskiego, który właśnie został przyjęty do pracy w utworzonym Uniwersytecie Gdańskim i tworzył swój zakład akustyki, a który w tym właśnie roku przyjechał z Poznania.

Akustyka, termin, który do dzisiaj przypomina mi rozmowę z doc. dr. hab. Janem Fiutakiem, który w roku założenia Uniwersytetu Gdańskiego zastanawiał się, czy przyjąć mnie do pracy w Instytucie Fizyki.

Ja byłem fizykiem nuklearnym, czy mógłbym pracować w dziedzinie akustyki? W tym czasie miałem dość niewiele wiadomości na temat akustyki. W trakcie studiów miałem wszystkiego tylko jeden dwugodzinny dość ogólny wykład na temat akustyki.

Jednak moje wykształcenie dość szybko się przydało. Prowadziłem zajęcia w pracowni jądrowej (zdjęcie poniżej), później przejąłem również wykład.



Fot. 1. W pracowni jądrowej w Instytucie Fizyki na ul. Sobieskiego

Pracę zacząłem w dniu 1 października 1970 roku, wtedy Instytut Fizyki znajdował się na ulicy Sobieskiego w gmachu byłej Wyższej Szkoły Pedagogicznej (WSP). Zakład docenta Śliwińskiego mieścił się w pomieszczeniach 3a, były to dwa małe pokoje połączone malutkim korytarzykiem. Pierwszy można było nazwać pracownią, chociaż tak naprawdę nie było tam żadnej aparatury. Siedział tam cały zakład, tzn. mgr Marek Kosmol i ja. Drugi malutki pokój zajmował kierownik Zakładu Akustyki, potem ja zająłem ten pokój na pracownię, jak doc. dr hab. Śliwiński otrzymał kilka pomieszczeń na pierwszym piętrze.

Okazało się, że formalnie tak naprawdę nie byłem pracownikiem Uniwersytetu przez pierwszy rok, ale czymś jakby studentem Asystenckich Studiów Przygotowawczych. Było nas tam (mających taki przejściowy statut przed zatrudnieniem na etat asystenta) sześcioro magistrów: Danuta Lewandowska, Danuta Zakrzewska, Jolanta Gazda-Pohoska, Marian Stoń, Janusz Czub i ja, czworo zrobiło później doktoraty, dwoje habilitacje i jedna osoba zdobyła tytuł profesora.

Jak wiadomo, każdy magister zatrudniony na stanowisku nauczyciela akademickiego miał obowiązek w ciągu 8 lat zrobić doktorat. Łatwo powiedzieć, ale zrobienie doktoratu z dziedziny, na temat której ma się raczej niewiele pojęcia, to sprawa dość skomplikowana. Dodatkowy szkopuł to dla doświadczalnika stanowisko do prowadzenia pomiarów, którego jeszcze wtedy nie było.

Na początku nie było nic. Profesor przywiózł jakiś bardzo stary generator, który mnie osobiście do niczego się nie przydał. Potem załatwił pieniądze na zakup defektoskopu ultradźwiękowego, który był opisany po angielsku, a instrukcja była po niemiecku. Także nie nadawał się do pomiarów, na których się opierając, można by stworzyć pracę doktorską. Nieco później udało się zakupić spektrometr akustyczny wykonany w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN. To już było coś, na czym mogłem zacząć pomiary.



Fot. 2. Doc. dr hab. A. Śliwiński zapraszał nas od czasu do czasu na dyskusję nad tym, co zrobiliśmy. Na zdjęciu właśnie mgr Bogumił Linde zaczyna takie spotkanie

Przez kilka lat badałem, metodami akustycznymi (spektroskopii ultradźwiękowej), szeregi chemicznych związków pierścieniowych i ketonów, zwłaszcza już w laboratorium w nowym gmachu Fizyki UG po przeniesieniu się na ul. Wita Stwosza w 1975 roku. Niestety, pomiary mogłem wykonywać w dość wąskim przedziale częstotliwości, od ok. 8 do 160 MHz, na co zezwalał spektrometr. Do ww. pomiarów akustycznych cieczy niezbędny był pomiar temperatury i jej stabilizacja. Początkowo pomiar temperatury był dokonywany za pomocą termopary, ale stabilizacja była dość trudna. Po 1975 roku udało się sprowadzić bardzo dobry regulator temperatury, ale niestety bez odpowiedniego czujnika. Komunikowałem się z producentami i odpowiedzieli, żebym skonkretyzował, jaki czujnik chciałbym otrzymać. Prosiłem

o najmniejszy. Przesłali mi półmetrowej wielkości. Moja kuweta pomiarowa to był cylinder o wysokości ok. 5 cm i średnicy 4 cm.

Po wysłanej prośbie o zakup czujników w Austrii, małych ~ 4 cm, dostałem zgodę na zakup dewizowy (trzeba było wtedy ją uzyskiwać na zakupy w strefie dolarowej) – koszt 4,5 \$. Złożyłem zamówienie w 1974 roku i otrzymałem je po doktoracie w 1980 roku.



Fot. 3. B. Linde i A. Witkowska-Borysewicz w pracowni ultradźwiękowej na Wita Stwosza 57

Jak wspomniałem, zakres częstotliwości pomiarowych był dość wąski do określenia procesów relaksacyjnych w badanych związkach. Nawiązana współpraca z Instytutem Fizyki Medycznej i Biofizyki Uniwersytetu Marcina Lutra w Halle/Saale (Institut für Medizinische Physik und Biophysik, Martin Luther Universität) umożliwiła mi rozszerzenie zakresu pomiarów o częstotliwości niskie od 200 kHz do 5 MHz. Niestety, to niewiele dało. Tak, jak się tego spodziewałem potrzebny był obszar sięgający GHz.

W 1978 roku prof. Jerzy Wehr, z IPPT PAN, z którym współpracowaliśmy, spotkał na konferencji w Budapeszcie dr. Nikołaja Borysowicza Leźniewa, który pokazał na prezentacji zbudowany przez siebie spektrometr ultradźwiękowy na zakres częstotliwości do 1.3 GHz. Zaprosił go do IPPT w Warszawie na staż z propozycją zbudowania takiego samego w Instytucie na Świętokrzyskiej. Nikołaj miał tam również szereg wykładów z akustyki molekularnej, na które pojechałem do Warszawy. Dr Leźniew zaprosił mnie na wspólne pomiary i powiedział mi, „żałuję że ten spektrometr nie będzie u ciebie, bo przynajmniej ktoś zorientowany by z niego korzystał”. W międzyczasie rozmawialiśmy z prof. Wehrem, który zapytał się mnie na początku, czy możemy rozmawiać po rosyjsku (Leźniew mówił tylko po rosyjsku) i przeszliśmy na ten język. Prof. Wehr był alpinistą i cieszył się bardzo, że przyjęto go w tym roku na

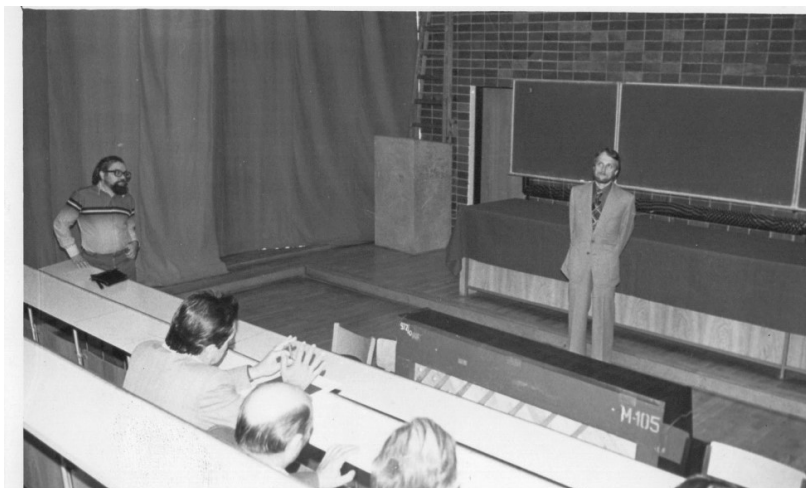
ekspedycję do Hindukuszu. Profesor był wybrany na recenzenta w przewodzie mojej pracy doktorskiej.

Na początku roku akademickiego 1978/79 dostałem urlop naukowy na pomiary w IPPT PAN. Przez prawie pół roku jeździłem do Warszawy na pomiary ze swoimi cieczami. Ciecze pierścieniowe pachniały bardzo intensywnie, a doc. dr hab. Ryszard Płowiec (kierownik Zakładu Akustyki Fizycznej) bardzo dbał o swoje zdrowie, dlatego przeniósł mnie ze spektrometrem do piwnic instytutowych. Mieszkałem wtedy w pokojach gościnnych instytutu na ostatnim piętrze. Było to bardzo wygodne, bo mogłem pracować do nocy bez wychodzenia. Instytut był zamykany i portiernia nie bardzo chciała wpuszczać i wypuszczać po 22.00.

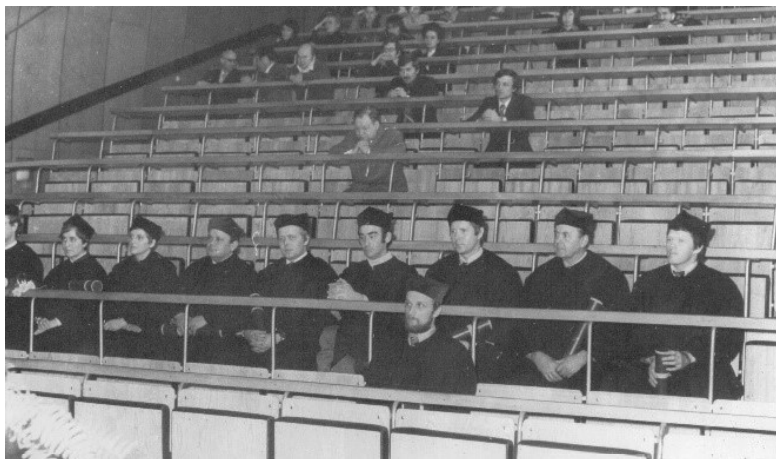
W styczniu 1979 skończyłem pomiary i zacząłem pisać doktorat. Badania przeprowadzone na tym spektrometrze bardzo znacząco pomogły, a w zasadzie umożliwiły mi zrobienie doktoratu. Wtedy dowiedzieliśmy się że prof. J. Wehr zginął w górach Hindukuszu w czasie ww. ekspedycji. Zmieniono mi wówczas recenzenta i wybrano doc. dr. hab. Ryszarda Płowca.

15 czerwca 1979 roku obroniłem pracę doktorską (zdjęcie poniżej) pt. „Relaksacja akustyczna w cieczach organicznych o strukturze pierścieniowej”, otrzymując stopień doktora nauk fizycznych na Wydziale Matematyki Fizyki i Chemii Uniwersytetu Gdańskiego.

Pan dziekan, prof. dr hab. Jan Fiutak, postanowił zorganizować uroczyste wręczenie dyplomów doktorskich i habilitacyjnych 6 grudnia o 13.00 1979 roku. Przed tą uroczystością poprosił mnie do dziekanatu i zapytał, czy mógłbym zabrać głos w imieniu wszystkich promowanych doktorów. Trochę się nad tym napracowałem, ale wszystko się dobrze skończyło – w końcu *finis coronat opus*.



Fot. 4. Obrona doktorska Bogumiła Lindego 15 czerwca. Obronie przewodniczył prof. dr hab. Robert Głębocki



Fot. 5. Promowani doktorzy: W pierwszy rzędzie, Bogumił Linde, w drugim: Zbigniew Pepliński, x, Marek Ciurak, Kosmol, Stoń, x, Maria Doroszkiewicz, Rita Walczyna (chemicy), x, Marek Kosmol, M. Stoń (fizycy)



Fot. 6. (od prawej): M. Stoń, x, M. Kosmol, B. Linde, Marek Ciurak, x, x, x, Rita Walczyna, Maria Doroszkiewicz, Ireneusz Reclaw



Fot. 7. Promocja dr. Bogumił B.J. Lindego, obok prof. Antoni Śliwiński, przed: prorektor prof. Antoni Makuć i dziekan prof. Jan Fiutak (fot. Alicja Pietrzyk)



Fot. 8. Promowani doktorzy i ich promotorzy (od lewej): Zenon Pawlak, Kazimierz Badziąg, Bogdan Liberek, Janusz Sokołowski, Jerzy Szychliński

Moje badania po doktoracie rozszerzyły się o badania zanieczyszczeń powierzchni wody substancjami ropopochodnymi. Po roku naszych wspólnych badań z dr. Markiem Kosmolem profesor Śliwiński zaprosił do pracy w tym temacie mgr. Stanisława Pogorzelskiego, który właśnie obronił pracę magisterską. To z nim kontynuowaliśmy te badania, na podstawie których napisał pracę i obronił doktorat.

Po doktoracie kilkakrotnie starałem się o wyjazdy na stypendium zagraniczne: Humboldta do Niemiec, Natural Sciences and Engineering, Research Council of Canada i Fulbright do USA. Byłem nawet w ambasadzie amerykańskiej na interview, ale nic z tego nie wyszło. Akustyce molekularnej trudno się przebić przez inne działy fizyki. U nas w Polsce nie miałem prawie żadnych szans na znalezienie placówki z odpowiednim zapleczem doświadczalnym, aby zgromadzić wyniki do rozpoczęcia procedury habilitacyjnej w zakresie spektroskopii ultradźwiękowej.

Wyjechałem więc do Konstantyny w Algierii na stanowisko nauczyciela akademickiego na tamtejszym Uniwersytecie. Ale to jest materiał na inną opowieść.

Po dwuletnim pobycie w Algierii wróciłem na Uniwersytet Gdański.

Krótko po przyjeździe z Algierii stwierdziłem, że w polityce kadrowej Uniwersytetu dość ostro zabrano się za doktorów, którzy nie uzyskiwali w zalecanym czasie habilitacji i wtedy musiałem się bardzo poważnie zastanowić, co należy przedsięwziąć.

W 1993 zaprosiłem, już wtedy profesora dr. nauk (rosyjski odpowiednik dr hab.), N. Leźniewa na Otwarte Seminarium z Akustyki (OSA XL, Rzeszów-Polańczyk 1993). Po rozmowach z nim o moich próbach z wyjazdem do jakiegoś zagranicznego laboratorium akustycznego i że nie mam gdzie skończyć swoich badań stwierdził: to przyjeżdżaj do mnie na pomiary akustyczne w częstotliwościowym zakresie Gigahercowym.

Na szczęście, dzięki babci, która maglowała mój rosyjski, mówiłem w języku Nikołaja dość swobodnie i między innymi miałem z nim bardzo dobry kontakt i miłe relacje. Turkmenistan – ciekawie brzmiało. Na tym seminarium miałem jeszcze jedną trudną okoliczność. Oprócz Leźniewa była cała grupa moich kolegów z Uniwersytetu w Halle. Leźniew znał tylko rosyjski, oni angielski. Trzymaliśmy się cały czas razem a ja pracowałem jako tłumacz. Z angielskiego na rosyjski i z powrotem. To był pierwszy raz i głowę miałem jak kocioł.

Ale wszystko to przydało się i mogłem starać się o zgodę na wyjazd. Udało się otrzymać zgodę i finansowanie z uczelni i w 1994 roku pojechałem do Aszchabadu do Akademii Nauk Turkmenistanu.

Nie obyło się bez wielu przygód i w czasie podróży, i w trakcie pobytu. Jadąc tam na pomiary, miałem ze sobą cuchnącą ciecz, którą wziąłem ze sobą na pokład, oczywiście zapakowaną w worki foliowe, żeby nie czuć było, co przewożę. Takich rzeczy według przepisów nie wolno przewozić, więc ryzykowałem. Myślę, że większym problemem była podróż naszym samolotem. W Rosji wożą wszystko i nikt się nie dziwił. Do kabiny wziąłem również magnetowid i kilka filmów, który kupiłem w Niemczech na życzenie prof. N. Leźniewa.

Już w podróży do Aszchabadu, oczywiście przez Moskwę, było ciekawie. Samolot z Warszawy przylatywał na Szeremietiewo (28 km pn. zach.), ale do Aszchabadu odlatywał z Domodiedowa (42 km poł. wsch. od centrum). To lotniska na różnych końcach Moskwy i w tamtym czasie przejazd przez miasto to horror. Na szczęście

prof. Leźniew załatwił mi transport. Jego kolega przyjechał po mnie na lotnisko jakimś gruchotem, ale jeżdżącym. Bez niego pewnie jechałbym pół dnia. Ta podróż i tak trwała kilka godzin. Domodiedowo wtedy to był koszmar. Lotnisko wyglądało jak olbrzymi brudny barak wypełniony tłumem ludzi. Dowożący mnie kolega Nikołaja, na szczęście, czekał razem ze mną na mój lot. Ciągłe bieganie i dopytywanie się o mój lot, ale nikt nie bardzo wiedział kiedy będzie przyjmowanie bagaży i kiedy odlot. Samolot był opóźniony ponad 3 godziny.

Samolot wylądował koło trzeciej nad ranem, ale nie było żadnych informacji dotyczących czegokolwiek. Pod samolot podjechał mały busik, do którego wsiadło kilka osób, ale prawie cały tłum ruszył w kierunku jakiejś bramy. Okazało się, że to wyjście do miasta. Na szczęście pod bramą w Aszhabadzie czekali na mnie cały ten czas prof. Leźniew i jego doktorant Esanow, Uzbek. Odebrali ode mnie video i paczuszkę z ciecżą i powiedzieli, że powinienem wyjść przez odprawę paszportową i bagażową a nie do miasta. Tą drogą wychodzili tylko mieszkańcy Turkmenistanu, tylko skąd miałem to wiedzieć. Zaprowadzili mnie do tego budynku, ale wszedłem tam nie z tej dobrej strony. Leźniew wszystkim przedstawiał mnie jako wielkiego gościa Akademii, ale niewielkie to robiło wrażenia na osobach przeprowadzających odprawę. Pierwsze ich pytanie to jak się znalazłem z tej strony, czyli na wejściu a nie wyjściu z lotniska. Po tej krótkiej scysji kazali otworzyć bagaż, mimo sprzeciwów Leźniewa. Dobrze, że przewożone video i ciecze przejęli ode mnie za bramą koledzy, bo pewnie byłyby kłopoty z cłem.

Zawieźli mnie do małego domu, który należał do Akademii i traktowany był jako hotelik dla ich gości. Następnego dnia prof. Leźniew przyjechał po mnie i pojechaliśmy do Instytutu, gdzie pracowała jego grupa zajmująca się badaniami akustycznymi.

Przedstawił mi swój zespół. Imiona, których nigdy nie słyszałem, Bohadyr, Umbari poczułem się wtedy bardzo obco, sam daleko od Polski i rodziny. Chodząc jednak po mieście, sklepach i patrząc na ludzi, odniosłem wrażenie, że jestem w dobrze znanym mi miejscu, tak atmosfera całości miasta to lata 50. w Polsce, a raczej w mieście gdzie wtedy mieszkałem, Ełku. Taka atmosfera, jaką pamiętam, i poczułem się wtedy jako mały chłopiec. Zaraz zrobiło mi się znacznie lepiej.

Miałem tylko trochę problemów z kontaktem z Gdańskiem. Co prawda Internet działał, ale jedynie przez wyznaczonego człowieka, tzn. żeby wysłać mail, a raczej żeby on wysłał mail, należało mu dostarczyć tekst po rosyjsku lub angielsku i on przepisywał go oczywiście po cenzurze. Z Polski także teksty musiały być pisane po rosyjsku lub angielsku. Wydrukowany tekst otrzymywałem na kartce, czasami z wyciętymi kawałkami. Mimo teoretycznie zniknięcia komuny metody pozostały niezmienione.

Zaczęliśmy pomiary. Okazało się, że trzeba było sporo pracy, żeby doprowadzić aparaturę do warunków pomiarowych z moimi cieczeniami. Podźwignąłem się i chyba wyskoczył mi dysk. Prof. Leźniew zaprowadził mnie do przychodni rządowej, bo stwierdził, że inne nie leczą, a raczej czekają aż organizm sam da sobie radę. Zaopiekowali się

mną rzeczywiście jak kimś z rządu. Miałem kilka ćwiczeń fizykoterapeutycznych i szybko doprowadzili mnie do stanu używalności. Po przyjeździe do Polski nasi fizykoterapeuci stwierdzili, że bardzo ładnie usprawnili mi kręgosłup. To nie wszystkie niespodzianki. Któregoś dnia było trzęsienie ziemi i popękały ściany w moim hoteliku. Prof. Leźniew zdecydował zabrać mnie do siebie, gdzie mieszkałem do końca pobytu. Trzecia niespodzianka, ale już bardzo miła, to wycieczka, na którą mnie zabrali na polowanie na kaczki, ale nad jezioro, głęboko na pustyni. Nie spodziewałem się jeziora z kaczkami na dalekiej pustyni, zwłaszcza że inną już znałem z Algierii. Wyjaśniło się to dość szybko. Za czasów ZSSR skierowali wody Amu-darii na pustynię i stąd pojawiły się jeziora na pustyni, co spowodowało katastrofę ekologiczną i prawie wyschnięcie Morza Aralskiego.

Raz w tygodniu mieliśmy seminaria i każdy prezentował swoje badania. Na tym seminarium miałem dłuższy wykład z moich badań z tematyki, w której Leźniew robił i doktorat i habilitację, i był najlepszy „w te klocki” w Rosji i chyba nie tylko.

Zastanawiałem się, w jakim języku wygłosić referat, ale zauważyłem, że z angielskim u nich było gorzej niż źle. W związku z tym i po rozmowie z Leźniewem miałem go wygłosić po rosyjsku, a tam gdzie nie znałem słów rosyjskich, z dziedziny, miałem użyć angielskiego. Niemniej kiedy użyłem pierwszego słowa angielskiego, zauważyłem trochę rozdziawione oczy, więc w dalszym ciągu wykładu już nie próbowałem tego i jakoś dałem sobie radę z językiem rosyjskim.



Fot. 9. Cały zespół profesora Leźniewa wraz ze mną przed Akademią Nauk Turkmenistanu

Ciekawa była potem rozmowa z prof. Leźniewem. Po wykładzie zapytał mnie, czyje rezultaty prezentowałem na swoim wystąpieniu i kiedy odpowiedziałem, że to są moje pomiary na jego aparaturze w Warszawie i w naszym laboratorium w Gdańsku oraz moje obliczenia i opracowania wyników, odpowiedział natychmiast: „to pisz książkę habilitacyjną i broń się u nas w Akademii”. Byłem bardzo zaskoczony, a zarazem niezmiernie ucieszony, chociaż nie wiedziałem czy habilitacja turkmeńska będzie uznawana w Polsce. Powiedziałem o tym Leźniewowi, a on zawyrokował – próbuj.

W Polsce w rozmowie z kimś w ministerstwie potwierdzono ważność stopni uzyskiwanych w byłym ZSRR, jeśli nie było nowych umów z tymi krajami. Ucieszyłem się i zacząłem pisać. Znowu dzięki Leźniewowi zrobię habilitację, tak jak doktorat.

Zacząłem pisać książkę, bo taki był obowiązek w całym dawnym ZSSR. Oczywiście nie mogłem tego zrobić po polsku, musiałem więc wybrać któryś z języków możliwych do odczytania przez recenzentów, zwłaszcza rosyjskich. Procedura wyglądała dość specyficznie. Rada Akademii Nauk Turkmenistanu musiała wybrać jakąś inną radę, specjalizującą się w dziedzinie, która miała dotyczyć prowadzonej rozprawy. Wybrałem więc angielski („Acoustical spectroscopy of cyclic & heterocyclic compounds, ketones and polluted water Surface”), głównie z powodu kłopotu pisania cyrylicą. Okazało się, że była to genialna myśl, która potem zaowocowała możliwością przedstawienia pracy tylko w nieco zmienionej formie w innej jednostce. Z tą sprawą wiązała się bardzo ciekawa historia. W pracy musiało być załączone streszczenie w języku turkmeńskim. Akurat byłem w Niemczech w Halle na pomiarach i okazało się, że był tam również doktor z Turkmenistanu, zatrudniony w granicie. Ucieszyłem się z możliwości załatwienia tej sprawy bardzo szybko. Poproszony o pomoc Turkmen na początku zgodził się bez problemu, ale jak mu przyniosłem streszczenie po rosyjsku, to wyjaśnił, że myślał, że mam to napisane po turkmeńsku, a on tylko to sprawdzi. Przetłumaczyć nie umiał? Turkmen mówiący po rosyjsku nie umiał napisać streszczenia po turkmeńsku, mimo że pracował również w mojej dziedzinie. Natomiast będąc na rynku, dowiedziałem się, że duża grupa Turkmenek w ogóle nie umie ani słowa po rosyjsku. Potrzebne streszczenie załatwili mi koledzy w Aszchabadzie.

Rada Naukowa Instytutu w Aszchabadzie wybrała Instytut Akustyki im. N.N. Andrejewa w Moskwie, w którym było wielu specjalistów zajmujących się akustyką molekularną. Rada wyznaczyła prof. Irmę Andrejewną Czaban na recenzenta – recenzja była bardzo ładna. Poza tą oficjalną opinią Rady należało również wysłać prośby do kilkudziesięciu instytucji z prośbą o ocenę tej pracy, tak zwane „otzywy” (отзыв) i przesłać je do Turkmenistanu. Do tego trzeba było przygotować do rozsyłki obszerne streszczenie. To streszczenie po angielsku, rosyjsku i po polsku miało 42 strony + streszczenie turkmeńskie. Porozysyłałem je do około 50 jednostek na adresy podane przez Akademię Nauk Turkmenistanu + kilkanaście w Niemczech i Polsce. Otrzymałem tych krótkich opinii ok. 20, z Rosji, Niemiec i oczywiście z Polski.

Jednak sytuacja się skomplikowała i sprawa mojego kolokwium habilitacyjnego w Aszchabadzie trwała już ponad dwa lata, a kontakty były coraz trudniejsze. Profesor Śliwiński namówił mnie, aby całą sprawę rozpocząć tu w Polsce w Poznaniu (nasz wydział na UG nie miał jeszcze praw nadawania stopnia doktora habilitowanego), nie wstrzymując spraw u przyjaciół ze Wschodu, raczej dalekiego – bo ok. 5000 km od Gdańska. Niestety, z tego dalekiego przedsięwzięcia nic nie mogło wyjść, bo okazało się, że prezydent Turkmenistanu Saparmurat Nijazow rozwiązał Akademię Nauk, mimo że sam był jego członkiem.

I tak od kwietnia zacząłem załatwiać wszystkie sprawy papierkowe w Poznaniu. Na szczęście nie musiałem wiele przerabiać wersji turkmeńskiej mojej pracy (była napisana po angielsku, tyle że na wersję angielską rady naukowej muszą wyrażać zgodę – dobrze więc, że nie napisałem jej po rosyjsku). Przed rozpoczęciem przedstawiałem rozprawę w Poznaniu na trzech seminariach: przed Radami Zakładu, Instytutu oraz Wydziału i w czerwcu otworzono procedurę postępowania habilitacyjnego (przewód habilitacyjny) i wyznaczono trzech recenzentów. Byli nimi prof. dr hab. Ryszard Płowiec z Instytutu Podstawowych Problemów Techniki Polskiej Akademii Nauk, prof. dr hab. Zygmunt Kleszczewski z Instytutu Fizyki Politechniki Śląskiej i prof. dr hab. Mikołaj Łabowski z Instytutu Akustyki Uniwersytetu Adama Mickiewicza.

Znowu czekało mnie trochę nerwów, bo niezależnie od tego, jakie dobre były poprzednie oceny i recenzja pracy, zawsze może znaleźć się ktoś, kto ma inne zdanie. Okazało się, że niepotrzebnie się obawiałem, wszystkie recenzje były bardzo pozytywne. Jedna z nich wniosowała nawet o wyróżnienie pracy.

Trochę nerwów jak zwykle, ale nie miałem dużo czasu na myślenie, bo przygotowaliśmy Zjazd Akustyków (XLIV Otwarte Seminarium z Akustyki) w Jastrzębiej Górze na wrzesień i miałem ogrom innej roboty.

Pod koniec września Rada w Poznaniu poinformowała mnie o przyjściu trzech pozytywnych opinii (do wersji turkmeńskiej miałem ich już dziewięć – niestety w Polsce nie można było wtedy bez specjalnej zgody władz Nauki w Polsce wyznaczyć na recenzentów naukowców z zagranicy – dość niezrozumiale, delikatnie mówiąc) i o wyznaczeniu daty kolokwium habilitacyjnego na 14 listopada.

Trochę musiałem popracować nad przygotowaniem wystąpienia i trzech wykładów (do wyboru członków Rady jednego, jako wykładu habilitacyjnego przewidywanego w procedurze przewodu) i trochę trzeba było się podenerwować, mniej jednak niż przed doktoratem.

Poniżej moje wspomnienia z tego wydarzenia, jak sądzę dość charakterystyczne i odzwierciedlające powszechne odczucia innych habilitantów w Polsce, które w kilka lat później doprowadziły w wyniku ogólnej dyskusji do zmiany ustawowych przepisów dotyczących procedury przewodów habilitacyjnych i zastąpienia ich nowymi przepisami postępowania dla uzyskania stopnia doktora habilitowanego.

Już 13 listopada pojechałem do Poznania, żeby nie zasnąć na ranny pociąg. Kolokwium miało się odbyć o 12.00, potem przełożono je na 12.15. Rada Wydziału obradowała tego dnia już od 9.00. Moje kolokwium miało być na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady po 12. Jak mnie wcześniej poinformowano, w zwyczaju jest zafundowanie Radzie kawy, herbaty i ciastek pomiędzy dwoma posiedzeniami.

Po pierwszym posiedzeniu wszyscy spałaszowali ciastka tak skutecznie, że nawet dla mnie nic nie zostało. Obejrzałem sobie salę, czy wszystkie środki audiowizualne są do mojej dyspozycji. W chwilę po tym dziekan mnie wyprosił z Sali, a zaprosił na nią resztę towarzystwa. Obiecał, że niedługo mnie poprosi. Obiecanki cacanki. Obrady, tzn. obrabianie mnie, trwało ponad godzinę. Czytali życiorys, dorobek naukowy, recenzje i głosowali nad dopuszczeniem do dalszych badań klienta. Mogłem więc teoretycznie posiedzieć godzinę i pójść do domu – jeśli nie dopuściliby mnie do kolokwium, tak przepadł mój kolega w czerwcu w Toruniu, a przyjechał na to kolokwium ze Stanów. Na szczęście przegłosowali jednomyślnie dopuszczenie do kolokwium. Miałem około 20 min, a potem przepytывanie ok. 1 godz. Po tym wyproszono mnie znowu z sali i dyskutowali nad moim wystąpieniem. Po ok. 20 min dziekan wyszedł i poprosił mnie do sali z powrotem, ogłaszając, że kolokwium zostało przyjęte i Rada przegłosowała, że mam zaprezentować mój drugi zaproponowany temat, tzn. „Przekraczanie bariery dźwięku i jej konsekwencje”. Ponieważ wszystko trwało już dość długo, mam na to 20 min, a potem, jeśli nie skończę, to mi przerwą. Śmieszne, bo w czasie dyskusji zarzucano mi, że mówiłem trochę za szybko. Skończyłem po 20 min i ponownie wyproszono mnie z sali na ok. 10 min. Zapraszając mnie znów do Sali, dziekan poinformował mnie, że wykład został również przyjęty i Rada wystąpiła do CKK (Centralna Komisja Kwalifikacyjna) o przyznanie stopnia doktora habilitowanego nauk fizycznych w zakresie fizyki. Dwie osoby się wstrzymały na 49, co świadczy, że poszło zupełnie nieźle. Potem jeszcze obiad w restauracji Hacjenda, w której zwykle spotykają się fizycy po obronach, ponieważ jest niedaleko kampusu UAM. Okazało się, że restauracja jest bardzo sympatyczna, a zaprosił mnie do niej mój ojciec chrzestny 20 lat wcześniej, tuż po jej otwarciu, gdy byłem na stażu w Instytucie Fizyki Molekularnej PAN w Poznaniu, którego dyrektorem był wtedy prof. Stankowski. Potem poszedłem jeszcze do ojca chrzestnego, który na tę okazję przywiózł specjalnego szampana z Francji.

Pozostała jeszcze sprawa napisania protokołu z tego posiedzenia Rady i przesłania go do CK. W połowie grudnia wszystko było gotowe i teraz pozostało mi tylko czekać na werdykt CK, miałem nadzieję, że będzie pozytywny. Mogło to trwać do pół roku, zatem musiałem się uzbroić w cierpliwość.

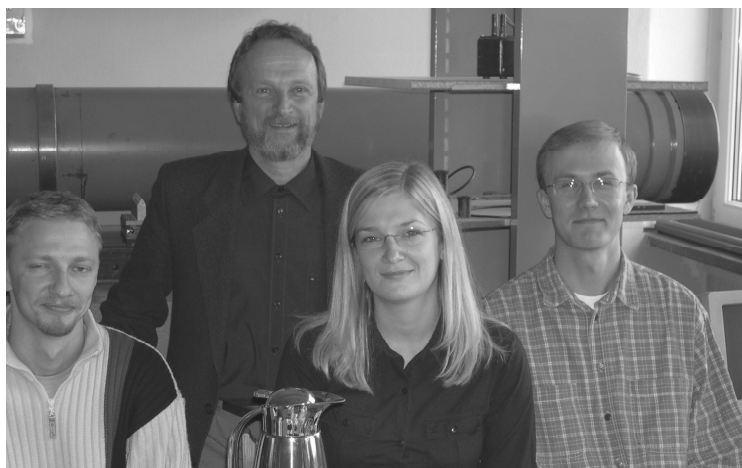
Trwało to jednak znacznie dłużej, chociaż superrecenzent, którym był profesor Zbigniew Wesołowski, zaraz po jej napisaniu w lutym, przesłał ją do mnie, żebym wcześniej wiedział, że jest pozytywna. Ale dopiero we wrześniu dostałem informację z CK o pozytywnym zatwierdzeniu habilitacji.

Pamiętając wydziałową uroczystość wręczenia dyplomów doktorskich w Gdańsku, czekałem na informację z Poznania o wręczaniu dyplomów habilitacyjnych. W końcu

zadzwoiłem pod koniec roku z zapytaniem o dyplom. Odpowiedź mnie zaskoczyła. Chcesz dostać dyplom, to możesz przyjechać i go sobie odebrać. Nie było żadnej uroczystości.

Teraz trzeba było (jako dr hab.) poszukać kandydatów na studia doktoranckie. Po wielu staraniach udało mi się zaopatrzyć pracownię w aparaturę i wtedy zacząłem rozglądać się za studentami, którzy nadawaliby się na studium. To nie było wcale łatwe, gdyż już wtedy niewielu mieliśmy studentów i rzadko któryś z nich chciał iść na studium doktoranckie, zwłaszcza do Fizyki Doświadczalnej.

Już wtedy zająłem się badaniami wodnych mieszanin nieelektrolitów i zacząłem bliską współpracę z dr Anną Sikorską z wykorzystaniem aparatury do badań fotoakustycznych. W 2003 i 2004 zgłosili się do mnie doktoranci, którzy mogli mi pomóc w pomiarach, zrobić doktoraty i później umożliwić mi starania się o tytuł profesora.



Fot. 10. Bogumił Linde z doktorantami: Wioleta Żwirbła, Nikodem Ponikwicki i Tomasz Klinkosz

W 2003 roku zostałem Przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Akustycznego Oddz. Gdańskiego i w 2004 organizowałem najważniejsze doroczne spotkanie akustyków w Polsce (LI. OSA 2004 – Otwarte Seminarium z Akustyki).

Dwa lata później, będąc na Kongresie (ICA – International Congress on Acoustics) w Kyoto, zostałem wybrany na członka zespołu WCU (The Board of Word Congress on Ultrasonics) zmienionego później na ICU (International Congress on Ultrasonics), w którym później pełniłem funkcję przewodniczącego przez dwie kadencje. W 2011 roku wygrałem konkurs na organizację tego kongresu w Gdańsku, co zrealizowaliśmy z powodzeniem.

W połowie 2007 roku pomiary związane z obydwooma pracami doktorskimi były zakończone. Badania były wielokrotnie publikowane i pod koniec 2007 roku obie

prace doktorskie mogły zostać napisane i zakończone, a jedna z nich nawet w tym samym roku obroniona.

Niestety, stała się rzecz nieprzewidywana, która spowodowała opóźnienie, a potem praktycznie rezygnację z kontynuowania pracy i decyzji podjęcia się obrony przez moich doktorantów.



Fot. 11. Część Komitetu Organizacyjnego Int. Congress on Ultrasonics Gdańsk 2011: dr Maria Borysewicz, dr Anna Markiewicz, Bogumił Linde, dr Paulina Borysewicz, mgr Nikodem Ponikwicki, dr Ksenia Piątkowska

Już na początku roku chciałem „docisnąć” doktorantów do składania mi co miesiąc kawałka pracy, ale doktorantka przyszła do mnie z płaczem, że nie umie pracować pod przymusem. Moja końcowa rozmowa z doktorantami i komentarz ostrzegający, że nieskończenie pracy może skutkować zwrotem wziętego stypendium (takie było obowiązujące zarządzenie). Na takie dictum oboje zareagowali natychmiast, oznajmiając mi, że to zarządzenie zostało cofnięte i nie będą musieli zwracać pieniędzy. Ta zmiana przepisów to był wielki błąd prawodawców i powód, że żadne z nich do końca mojego zatrudnienia na UG nie zakończyło realizowanych badań obroną pracy. Gdyby nie ta ulga w zmianie przepisów, mógłbym w 2008 roku mieć swego promowanego doktoranta i wystąpić o tytuł profesora, ale nie mając go, nie spełniałem wymogów formalnych.

Dopiero otrzymany grant, o który wystąpiłem razem z mgr. Bogdanem Nienaltowskim, umożliwił zakupienie aparatury do badań, a ich rezultaty zasugerowały możliwość ciekawego tematu pracy doktorskiej i pod koniec 2012 powstała rozprawa doktorska, pod moim promotorstwem, i została obroniona.

Mogłem więc wystąpić z wnioskiem o wszczęcie procedury o tytuł profesora. Rada Wydziału Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej Politechniki Gdańskiej po rozpatrzeniu mojego dorobku i przedstawieniu dorobku na seminarium zdecydowała o podjęciu się przeprowadzenia ww. procedury, która rozpoczęła się w połowie 2015 roku.



Fot. 12. Uroczyste wręczenie dyplomów doktorskich przez J.M. Rektora Politechniki prof. dr. hab. Henryka Krawczyka

Chyba jednak mój dorobek był oczywisty i nie było problemów i zastrzeżeń, których doszukiwała się komisja mojej macierzystej Rady i wszystkie pięć recenzji naukowców z całej Polski i szósta superrecenzenta CKK były zdecydowanie pozytywne i Rada Wydziału przegłosowała przyjęcie i wysłanie dokumentów do Centralnej Komisji; w kwietniu 2016 roku CKK przesłała wniosek o zatwierdzenie tytułu do Prezydenta Polski, a 22 czerwca Prezydent Andrzej Duda podpisał nominację i nadał mi tytuł naukowy profesora nauk fizycznych. Uroczyste wręczenie nastąpiło 22 września w Pałacu Prezydenckim w Warszawie.



Fot. 13. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręcza Bogumiłowi Lindemu dokument nadania tytułu profesora nauk fizycznych

W 2017 roku przeszedłem z UG na emeryturę, chociaż miałem ochotę jeszcze pracować. Docenili mnie na Logopedii i poprosili o wykład z fonetyki akustycznej na Podyplomowych Studiach Logopedycznych,

Tak więc 47 lat, czyli aż do emerytury, przepracowałem na Uniwersytecie Gdańskim z krótką przerwą na dwuletni pobyt w Algierii na Uniwersytecie w Konstantynie (Mentouri Université de Constantine), gdzie pracowałem jako nauczyciel akademicki.

Nadal jednak zostałem na uczelni. Zarząd Klubu Seniora Uniwersytetu poprosił mnie o podjęcie się pracy w Klubie i kandydowanie na stanowisko Prezesa KS UG. Zgodziłem się i w 2018 roku zostałem wybrany na ww. stanowisko.